



WEJŚCIE DLA ARTYSTÓW

Sławomir Pietras

Mówi się, że biblijny raj był na Sycylii. Wierzą w to tylko cudzoziemcy, którzy nie widzieli Norwegii wiosną. W tym górzystym, pociętym fiordami kraju każdego roku przez 270 dni pada deszcz. Nam trafiło się błękitne niebo i słońce, białe noce z trzygodzinnym tylko zmierzchem i świtem oraz rewelacyjny przewodnik pan Paweł Paszek, jeden ze 100 tysięcy Polaków na stałe osiedlonych w liczącej tylko 5 milionów mieszkańców Norwegii. Żyją oni na 10 procentach jej ciągnącego się przez północną Skandynawię terytorium z blisko tysiącem tuneli, bo reszta to wody, skały, lasy i niedostępne ośnieżone góry.

Trudno z czymkolwiek porównywać piękne położenie festiwalowego miasta Bergen, o tej porze roku tonącego w kwiatach, międzynarodowej publiczności oraz wydarzeniach teatralnych, koncertowych, operowych, tanecznych, filmowych, wystawienniczych, a nawet sztuki cyrku. W bogatej tegorocznej edycji znalazłem interesujący polonik. Z okazji 200. rocznicy prapremiery *Cyrulika sewilskiego*, opera w Bergen dała festiwalowy spek-

Tymczasem zachwycam się Norwegią

takl tego dzieła, w którym partię tytułową z wielkim powodzeniem zaśpiewał Marcin Bronikowski.

Podczas krótkiego pobytu w tym pięknym mieście odwiedziłem dom Edwarda Griega, zbudowany przez kompozytora na początku ubiegłego stulecia w Troldehaugen. Teraz mieści się tam muzeum z detalami domowych urządzeń, miejscem pracy i codziennych spacerów twórcy *Peer Gynta*, wreszcie jego grobem w skale nad jeziorem.

W Norwegii nikt nie ogłaszał w parlamencie roku Edwarda Griega. Pojedynczo i zbiorowo ludzie tłumnie odwiedzają miejsce kultu kompozytora – symbolu dziedzictwa narodowego tego kraju. Słuchają jego muzyki w kunsztownie przeszklonej sali koncertowej z widokiem na jezioro, gdzie niegdyś zapatrzonej w szafirową toń Edward Grieg skomponował przepiękny koncert fortepianowy a-moll. Nam udało się wysłuchać recitalu jego utworów w wykonaniu młodego pianisty Jorana Skaugego.

Podczas jego gry myślałem o tym narodzie w prostej linii pochodzącym od wikingów, który wie, że tyle przetrwa o nim w bijącym sercu Europy, ile znaczyć będzie jego muzyka, literatura, poezja

i sztuki piękne, a nie na przykład pieniądze z odkrytych niedawno złóż ropy naftowej.

Norwegowie na każdym kroku czczą i propagują Edwarda Griega, którego dźwięki rozbrzmiewają wszędzie. My zaś w Sejmie ogłosiliśmy Rok Feliksa Nowowiejskiego i zamiast cokolwiek wykonać z bogatej twórczości autora *Roty* i *Legendy Bałtyku*, pchamy się z Wagnerelem do Ameryki (Warszawa), planujemy co chwilę nowego *Eugeniusza Oniegina* (Łódź) lub kosztownego *Borysa Godunowa*, którego premiera parę lat temu odbyła się w Poznaniu, miała powodzenie, więc po co marnować pieniądze na kolejną w tym samym mieście?

W Oslo premiera *Wesela Figara* pod dyktando Włocha Rinaldo Alessandrini, wyreżyserowana mistrzowsko przez Amerykanina Thaddeusa Strassbergera. Obsada niemal wyłącznie norweska, doskonała wokalnie, pełna kreacji aktorskich z czarującym Cherubinem (Ingeborg Gillebo), wyśmienitym Hrabią (Espen Langvik), zabawną Zuzanną (Kari Ulfesnes Kleiven) i młodzieńcem, chociaż tłustym Figarem (Yngve Soberg).

Zawracam głowę moim czytelnikom szeregiem trudnych do zapamiętania

cudzoziemskich nazwisk, aby zaświadczyć, że sztukę operową można uprawiać po swojemu nawet w dalekiej, acz niezbyt ludnej Norwegii. Oni wzniesli tam rewelacyjny gmach operowy schodzący wprost do morza, wybudowany z najpiękniejszego białego marmuru kanaryjskiego. Przed wejściem stoi olbrzymi posąg największej śpiewaczki norweskiej Kirsten Flagstad, potężnego sopranu dramatycznego, która po karierze w Bayreuth została dyrektorem opery w Oslo i udowodniła, co potrafi zrobić dla dobra sztuki ojczystej córka wikingów Północy.

Natomiast u nas śpiewacy pomniki mają tylko na cmentarzach (i to nie wszyscy), gmachy i zespoły operowe są dla samorządowców zbyt kosztowne (bo resztę pieniędzy trzeba wydać na tzw. koprodukcję, a ostatnio nawet na chorych zagranicznych śpiewaków), więc gra się coraz mniej spektakli, zwykle w kółko tych samych, a o dziełach operowych twórców polskich wspomina się tylko rocznicowo (i to nie zawsze), nie grając – broń Boże – niczego, bo to swojskie, a więc trzeciorzędne, no może poza Moniuszką i Pendereckim.

Z tym trzeba coś zrobić – donoszę nowej władzy. Tymczasem zachwycam się Norwegią!